
■ ROBERT MINHINNICK

PRZECIW NIENAZYWANIU: SIEDEM OKREŚLEŃ DZIĘCIOŁA

Wyniki referendum i głosowania nad konstytucją europejską w 2005 roku mogą nam dać wiele do myślenia: najważniejszy jest wniosek o opóźnieniu procesu przystąpienia do Unii takich krajów jak Chorwacja. Dla wielu Chorwatów jest to zła wiadomość, ulżyło natomiast tym, którzy nieufnie podchodzą do Unii Europejskiej. Biorąc pod uwagę frankistowską dyktaturę w Hiszpanii, jednogłośnie poparcie Hiszpanów dla konstytucji wydaje się mądre i nieuniknione. Kraje bałtyckie także głosowały za konstytucją. Ale francuskie „nie” pokazuje, dlaczego ludzie w całej Europie z niepokojem patrzą na plany zjednoczenia. Przeświadczeni są bowiem o tym, że europejskie marzenie przekształciło się w ekonomiczną wizję świata, w którym gargantuiczne firmy i przedsięwzięcia wypracowują ogromne zyski kosztem tego, co małe, zróżnicowane, jedyne w swoim rodzaju.

Tak się składa, że mogę zaproponować inne spojrzenie na te dylematy, ponieważ sam pochodzę z Walii, czyli z małego kraju całkowicie zintegrowanego z Wielką Brytanią, w którym nie ma wielu oznak niepodległości. To prawda, że Europa szczyci się kulturowym zróżnicowaniem – w muzyce, kuchni, architekturze, językach, historii, literaturze. Naszą dumę widać szczególnie wtedy, gdy spotykamy się z mieszkańcami Ameryki Północnej. Nawet jeśli nie czytamy książek, nie umiemy gotować, zapomnieliśmy naszą historię, sądzimy, że da Vinci był Francuzem, a Dvořák Rosjaninem, to i tak czujemy wyższość, bo zamieszkujemy kontynent bogaty i zróżnicowany kulturowo. Francuskie i holenderskie weto pokazuje jednak, że to zróżnicowanie zostało zakwestionowane. Ludzie tracą poczucie przynależności, pewność swoich korzeni, które sprawiły, że są tym, kim są. Jednym słowem, obawiają się, że tracą indy-

widualność. I że ta indywidualność staje się ofiarą filisterskiego bogactwa oraz rzekomo wyrafinowanych stylów życia zaaprobowanych przez środki masowego przekazu.

W miarę jak wzrasta nasza świadomość własnego miejsca na ziemi, maleje poczucie przynależności do konkretnego, rodzinnego miejsca. Rozrastamy się, ale przy tym stajemy się bardziej płytki. Przeczujemy, że bogata tożsamość tego, co nazywamy domem, ubożeje z powodu globalizacji, procesu powszechnie uznawanego za nieodwracalny. Warto jednak zauważyć, że w ostatecznym rozrachunku globalizacja jest także pożyteczna. Trudno byłoby nam wyobrazić sobie życie bez chrześcijaństwa, łaciny, silnika spalinowego czy mikroprocesora. Dlaczego wiele kultur tak entuzjastycznie przyswaja amerykański rap? Z pewnością dlatego, że muzyka ta mówi o ucisku, niesprawiedliwości i wyraźnym podziale na bogatych i biednych. Stąd czarny rap Brooklynu i Bronxu można usłyszeć w Budapeszcie i Berlinie.

Niedawno szedłem sobie przez moją rodzinną wioskę w Walii. Patrzyłem na pole, które już od dawna nie było orane, i na walący się dom. Uświadomiłem sobie, że jest bardzo niewiele osób, które znają nazwę tego pola i nazwę tego domu. Dla większości ludzi ten dom i to pole są bezimienne i anonimowe. Tymczasem ja znam ich nazwy w języku walijskim i ta wiedza pozwoli mi dotrzeć do własnej historii, do tego, kim jestem. Nazywanie rzeczy jest bowiem istotne. Nazywanie jest rytuałem najwyższej wagi. Może nawet świętością. Nazywanie jest podstawowym instynktem języka i poezji. To nazywanie tworzy literaturę. Nazywanie jest procesem, za pomocą którego ludzie budują i dziedziczą tożsamość.

O poczuciu straty wywołanym „nienazywaniem” pisała Gwyneth Lewis, poetka języka walijskiego. Jej wiersz zatytułowany *Y Munudau Olaf*, czyli po angielsku *The Last Minutes* (Ostatnie minuty), porównuje język walijski do pacjenta na łożu śmierci. Wszystkie stare słowa, niepotrzebne w nowym świecie, zbędne w zamożnych „Stanach Zjednoczonych Europy”, zostają zwymiotowane. Moja angielska wersja fragmentu tego wiersza brzmi:

The end was horrible. A vessel burst
and there was blood everywhere. Out of her mouth
came a haemorrhage of words...
in scarlet flowers – but then the blood was black
and full of slurry – a fountain that appalled us...
and there were the psalms accumulated in the gut
pouring out of her, proverbs, verbs,

the names of plants, seven words for 'woodpecker',
a dragonfly...
So after this emergency there was nothing to be done
but watch her dying, with her vocabulary
leaving her in tides...

Koniec był straszny. Pękło naczynie krwionośne,
wszędzie pełno krwi. Z jej ust
popłynął krwotok słów...
szkarłatnymi kwiatami – ale potem krew stała się czarna
i pełna szlamu – fontanna, która nas przeraziła...
wylewały się z niej psalmy
nagromadzone w trzewiach, przysłowia, słowa,
nazwy roślin, siedem określeń dziecięcia,
ważka...
Po tym nagłym wypadku nic już nie dało się zrobić,
można było tylko patrzeć, jak umiera, a jej słownictwo
opuszcza ją w odpływach...

Trudno w tym akcie tłumaczenia nie dostrzec pewnej ironii. Pismo „Poetry Wales”, które redaguję, jest międzynarodowym magazynem poetycko-krytycznym wydawanym w języku angielskim. Odkąd zostałem redaktorem, zagościły w nim przekłady z różnych języków europejskich. Walijscy i angielscy czytelnicy mogą się dowiedzieć, co pisze się w innych krajach Europy. Ale samo tłumaczenie na angielski może te języki osłabiać. Na przykład, na łamach pisma pojawiło się wielu poetów holenderskich. Organizując liczne spotkania poetyckie w Holandii, poznałem wielu holenderskich pisarzy. Każdy z nich włada angielskim jako drugim językiem. Holenderskie stowarzyszenia literackie hojnie przekazują pieniądze na przekłady literatury holenderskiej, w szczególności na język angielski. Uważają, że w ten sposób Holandia będzie lepiej rozumiana na świecie. Nasuwa się jednak pytanie: w którym pokoleniu – następnym? tym zaraz po nim? – pisarze holenderscy zaczną pisać od razu po angielsku? Czy wtedy rząd holenderski będzie płacił za przekłady na język holenderski? Językiem tym włada nie więcej niż czternaście milionów ludzi.

Przyjeżdżam z „Poetry Wales” do Budapesztu. Sytuacja wygląda podobnie. Węgierski ma dziesięć milionów użytkowników. Czy przekład okalecza ten język? Zabieram „Poetry Wales” na Litwę, gdzie językiem litewskim posługują się cztery miliony ludzi. Spotykam Litwinów i dowiaduję się, że przeżyli podwójną okupację: Hitlera i Sowietów, wobec

czego przetrwanie ich języka to znak niezłomnej dumy. Litewskiego nie zabiły armie, obozy koncentracyjne ani tyrania. Ucisk tylko wzmocnił ten język. Litwa jest teraz częścią Unii Europejskiej. Młodzi Litwini zalewają Wielką Brytanię. W Walii moje śmiecie, wszystko, co wyrzucam, jest sortowane przez litewskich pracowników spalarni, której właścicielami są – warto tu dodać – Portugalczycy. Według litewskich kryteriów, to dobrze płatna praca. Czy zamożność Unii dokona tego, czego nie udało się dokonać Hitlerowi i Stalinowi – czy zniszczy język litewski, język spokrewniony z sanskrytem, jedno z bogactw Europy? Rząd Litwy, tak jak rząd Holandii, finansuje przekłady dzieł młodych pisarzy litewskich na angielski. Młodzi Litwini są dwujęzyczni. Czy wkrótce zaczną pisać po angielsku?

Nie oczekuję, że będziemy zachowywać się jak pisarze piszący po walijsku. Ten język tworzy zbyt wiele elegii o samym sobie. Ma samoświadomość inwalidy. Proponuję natomiast, abyśmy pisali z przeświadczeniem, że to, co uważamy za trwałe, może być kruchsze, niż myślimy. Odnosi się to także do tych z nas, którzy piszą po angielsku. Powinniśmy sobie uświadomić, że mamy do czynienia z globalnym ociepleniem kulturowym czy raczej globalną amnezją, podczas której słowa, dialekty, języki – przeróżne miejscowe bogactwa – raptownie znikają. Czy to źle? Jestem przekonany, że tak. Pociąga nas przecież wielorakość – dusza pogardza monokulturą.

Oczywiście, należy się cieszyć, że pisarze odznaczają się globalną ciekawością i badają to, co dzieje się na świecie. Gdyby stracili ciekawość tego, co znajduje się za rogiem czy za horyzontem, ludzkość znalazłaby się w tarapatach. Ale pisarze Europy mają także inny obowiązek. Muszą walczyć z lokalną amnezją, którą niesie ze sobą globalizacja. Proszę zwrócić uwagę na słowo **amnezja**. Amnezja wymazała z pamięci mieszkańców mojej wioski nazwy pola i domu, a ze śmiercią tych nazw historia i tożsamość tego pola i domu stały się niedostępne.

Nazwa jakiegoś pola, nazwa jakiegoś walącego się domu – dlaczego są tak istotne? Moim zdaniem to, co raz zostało nazwane, nigdy już nie może utracić swojej nazwy, nie może być nienazwane. W Walii istnieje siedem określeń dzięcioła, które stopniowo zanikają. Nienazwanie jest skutkiem niebezpiecznej homogenizacji kultury; proces nienazywania ogranicza naszą świadomość. W społeczeństwie nienazywania łatwiej manipuluje się ludźmi.

Pisarze powinni chwalić to, co lokalne, jednocześnie ucząc się od tego, co globalne. Ale nawet wtedy, gdy podkreślają wagę i siłę tematów

uniwersalnych, powinni umieć pokazać, jak ważne są korzenie, jak istotne jest to, co szczególne, co unikalne. Europa ze swoją historią może wręcz przytłoczyć bogactwem odniesień. Przez rok mieszkałem w Kanadzie, w Saskatchewan. Znajduje się tam dwadzieścia siedem tysięcy jezior, większość nie ma nazw, nawet rodzimych. Przez chwilę czułem się wyzwolony, wkrótce jednak byłem dziwnie onieśmielony. Nienazwany krajobraz jest kuriozalnym miejscem: kurczy się tam dusza.

Nie przejmuję się opinią, że myślenie o pisarzach jako o wielkich „nazywaczach” jest staromodne lub konserwatywne. Głęboko wierzę, że pisarze powinni występować przeciwko nie-nazywaniu, powinni być wrogami amnezji. Te siedem walijskich określeń dzięcioła wzbogaca duszę i świadczy o cudownej złożoności życia. Nawet jeśli ich nigdy nie wypowiedzieliśmy, wszyscy będziemy biedniejsi, kiedy znikną.

Powtarzam je jak modlitwę:

Taradr y Coed
Cnocell y Coed
Coblyn y Coed
Cobler y Coed
Cnocell Werdd
Tyllwr y Coed
Taradr Werdd.

przełożyła Elżbieta Wójcik-Leese